

Tragiczny zgon.

Straszny cios dotknął znanego poetę, Wiktora Gomulickiego: syn jego 18 letni, Roman Gomulicki, uczeń Szkoły sztuk pięknych, młodzieniec utalentowany i pełen świetnych nadziei artystycznych, kąpiąc się w Wiśle w Warszawie, utonął.

Wielkiem nieszczęściem dotkniętemu ojcu przesyłamy słowa gorącego współczucia. Pocięchą niech mu będzie miłość i uznanie, jakie sobie śp. Roman zdobył w gronie dyrekcji szkolnej profesorów i kolegów, którzy ogłaszają następujące pismo:

„W szeregach uczniów warszawskiej szkoły sztuk pięknych zabrakło na zawsze jednego z jej wychowanców!... Ubyła jednostka, a jednak szczerba jest znaczna! Znaczna, bo w tym młodzieńcu profesorowie szkoły i towarzysze jego pracy widzieli iskrę talentu, która się z czasem mogła w duży płomień zamienić i dodać blasku sztuce polskiej. Szkoda go! Miał talent, miał miłość swych przewodników i towarzyszy pracy! Wszyscy go lubili, kochali — wszyscy też go najserdeczniej żałują. Składamy cześć jego pamięci i ślemy szczerze, serdeczne współczucie zbolątemu ojcu!“

Tak tragicznie zmarły młodzieniec, syn Wiktora i Maryi z Humieckich, skończył szkołę realną Wróblewskiego. Od roku dopiero studiował malarstwo w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, gdzie obecnie jest urządzona mała wystawka jego szkiców. Jako talent malarski zapowiadał się bardzo obiecująco, co stwierdzili nauczyciele, udzielając mu licznych odznaczeń.



Nasi przyszli ogrodnicy: Słuchacze i słuchaczki obecnego kursu ogrodniczo-pszczelarskiego w Muzeum pszczelniczo-ogrodniczym w Warszawie. (Fot. dla „Nowości Ilustr.“ Cz. Kulewski).

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.
Napisał Bronisław Mazowiecki.

10

(Ciąg dalszy).

Właśnie stróż nocny, słysząc wrzaski, wpadł zaniepokojony na ganek i dostał się do ciemnej jadalni. Po omacku poszedł do drzwi otwartych, skąd buchał blask. W świetle lampy na środku swego pokoju stał w koszuli ksiądz Jan i jedną ręką mocno trzymając za ramię zupełnie nagą kobietę, drugą okładał jej ciało grubym sznurem, jakim kufer jego był przymocowany w drodze do powozu. Razy musiały być silne, bo na obnażonych plecach widoczne były pręgi czerwone, a ofiara daremnie wyrwywała się z rąk waryata, jęczała boleśnie... Stróż nocny nie namyślając się wiele, rzucił się na księdza, wyrwał mu z ręki sznur, poczem przez chwilę szamocąc się jeszcze z nim, uwolnił wreszcie terecyarkę — w chwili, gdy akuratnie w drzwiach od przedsiönka stanął furman dworski i parę osób z czeladzi krzykami rozbudzonej.

Jeszcze do świtu było daleko, gdy z przed folwarku ruszyła dworska karetka, wracając nagle do S..., dokąd miano wyjechać dopiero przed południem.

Przed samym wschodem słońca zaturkotał powóz na dziedzińcu dworskim. Psy ujadły przez chwilę, lecz uciszyły się zaraz, mimo, że stróż nocny wcale ich nie uspakajał, domyśliwszy się, że to wróciła siostra Felicya.

W oknach frontowych było o tej porze ciemno wszędzie, z wyjątkiem jednego na piętrze, gdzie w pokoju świeciła się lampa.

W tem też oknie ukazała się na chwilę tuż przy szybie głowa dziedzica, wywabionego turkotem. Jakkolwiek zdziwiony tak przyspieszonym powrotem terecyarki, która miała przyjechać dopiero rano po noclegu na folwarku, pan Edward upewniwszy się przez okno, że to powóz z nią zajechał, zaraz cofnął się w głąb pokoju.

Jeszcze nikt ze służby nie wyszedł na ganek, w całym domu prawie wszyscy spali o tej porze i tylko w zabudowaniach dworskich ten i ów wstał już do bydląt.

Podróżna wysiadła z powozu i prosto szła na pierwsze piętro domu, śpiesznie mijając korytarz po omacku, gdyż lampy wszystkie były pogaszone. Wreszcie drzwi otworzyła do jednego pokoju oświetlonego, a był to pokój dziecinny.

Nad łóżeczkiem Czesia siedział pochylony w strapieniu pan Edward, a tuż przy poduszkach, na których widać było rozognioną twarzyczkę chorego chłopca, klęczała stara Teklunia.

Drugie łóżko Zdzisia było puste. Ledwie drzwi się uchyliły, pan Edward zerwał

się z siedzenia i w tejże chwili w jego objęciach znalazła się młoda kobieta w stroju podróżnym. Może mimowoli, może nawet bezwiednie, uścisknęła się gorąco, poczem przybyła rzuciła się ku łóżku chorego dziecka i rozplakała się głośno łzami matki.

To niespodziewanie zamiast siostry Felicyi przyjechała dworskim powozem z folwarku sama dziedziczka. Ciężka choroba dziecka w mgnieniu oka zdołała pogodzić poważnionych małżonków.

Ojciec uspokajał płaczącą matkę, ale mu to nie szło, nie mógł bowiem zataić przed nią niebezpieczeństwa grożącego choremu synowi.

A wtem dzwignęła się nagle pani Edwardowa i rozejrzawszy się po pokoju, z przerażonym wzrokiem zwróciła się do Tekluni, wskazując drugie łóżko próżne.

— A Zdzis gdzie?

— U mnie... śpi zdrowiusieńki w moim łóżku... tylko, że tu nie można było, bo to zaraźliwe — uspakajała dziedziczkę stara klucznica, zdejmując z niej kapelusz i okrycie.

Dziecko w gorączce nie poznawało matki, której Teklunia wraz z panem Edwardem jęła dopiero rozpowiadać, kiedy i w jakich okolicznościach rochorował się chłopaczek.

— Przecucie jakieś matczyne serce przywiodło tutaj panią w samą porę... A ja tak nalegałam, że koniecznie trzeba posłać po matkę.

Pani Edwardowa nic na to nie odpowiedziała, pomyślała sobie jednak, że tym razem serce jej nic nie mówiło i nie przeczuwała niebezpieczeństwa dziecku grożącego, sprowadził ją zaś do domu jedynie przypadek.

— Uciekłam przed waryatem — mówiła do męża w parę godzin później, opuściwszy z nim pokój dziecinny.

A kiedy opowiedziała mężowi wszystko, co tylko mogła powiedzieć mu o swojej nowej znajomej siostrze Felicyi i zakończyła opisem kulminacyjnej sceny, na jaką przez kilka sekund patrzeć była zmuszona tej nocy na folwarku — nie chciał już po prostu pan Edward wierzyć jej słowom.

— To być nie może... to nie sposób doprawdy, bym ci mógł uwierzyć... tak brzmi to niesłychanie nieprawdopodobnie.

— Świadcowie byli i wszyscy na szczęście zostali przy życiu... Więc jeżeli już własna żona twoja wiary u ciebie znaleźć nie zdolna, to chyba wierzyć zechcesz ludziom zgoła obcym, którzy chyba interesu nie mają przedstawiać taką historię fałszywie... Ich pytaj, niech ci oni powiedzą, niech ci wiernie powtórzą.

Dziedzic jeszcze nie ufał, jeszcze nie był dość przekonany i nie odwołując, zdecydował się na przesłuchiwanie świadków.

Z miejsca tedy pobiegł do stajni, odszukał furmana dworskiego, który wozził jego wraz z Felicyą do Płocka, a wczoraj jeździł z terecyarką i księdzem na folwark.

— Słuchajno Wosinek... jak ci Bóg miły, gadaj mi prawdę... Słyszę o jakowejś na folwarku awanturze tej nocy... Jakkolwiek by nie było, świadectwo dać prawdzie rzetelnej godzi się i należy z obowiązku chrześcijańskiego bez względu na osoby... Nie obawiaj się chłopcze, nie ja ci za to nie zrobię, byleś mi wszystko powiedział, co wiesz. Gadać, coś widział.

— No, mnie tam wszystko jedno, proszę pięknie jasnego pana, albo to ze mnie panna, co bym aż miał w bawełnę obwijać... juści prawdę wypiszę, co bym tak pragnął spokojnego skonań...

— Mówże prędzej, Wosinek.

— Ano, proszę ja pana dziedzica, to niby było tak: Zmęczony byłem nie mało przecież po takiej ci podróży, cośmy to odbyli, to i nie dziwota, jako żem na folwarku legł zaraz, oporządziwszy koniety, no i śpię twardo...

— Pędzej... coś widział...

— A tu pani siostra po wieczery lezie na podwórko i łapie jednego po drugim, tak dalej na spytki... Niby to chodziło pani siostrze o naszą jasną dziedziczkę. Ha, coż mógł kto powiedzieć, a pani siostra pyta i pyta i nie wiele mądrzejsza lezie do innej czeladzi ciągać o to za jęzor.

— Bałamucisz, mój Wosinku, pleciesz różności, a nie powiadasz, coś miał pono widzieć na folwarku.

— Otżęż właśnie prowadzę... Z łaski swojej pan dziedzic wysłucha do końca... Więc mówię, że ległem se i śpię. Nic pani siostra nie wyciągnęła z gęby nikomu, zła tedy już była, a wieczór niby to już późny. Zaczem ci włazi do stajni, ino tu już żadnego nie szukała, bom ja był sam, a mnie rozpytywać się o to nie mogła. Tyło wlaźła zamówić se powóz na rano, cośmy mieli wracać do dworu sami.

— Wiem to wszystko, czemu tak nudzisz z tem, wystękać się nareszcie.

— Siadła se przy mnie pani siostra, a żem spał, tom mało co wiedział, jak ta znów długo siedziała przy mnie... A że mnie ono siedzenie rozbudziło i widzę to, co mi się śniło, jako mię głaśka i ścisła... Dopierom się opamiętał, myślę, co jest i zrywam się... To siostra przyszła była tak naumyślnie zbudzić mnie, co bym wiedział, kiedy mamy jechać.

— Głupiś Wosinku... będziesz plótł do jutra.

— Właśnie powiadam... Zostawiła mnie pani siostra, tom se dalej spał. Aż tu mnie budzą. Ja w strach, co ci takiego, stało się cosik... Ciągają mnie, lecę za drugimi na pokoje...

— Prawdę mi mów, nie żęj.

— Przecieram se oczy zaspane, boć to przecie dziwowisko było nie do wiary... Ale to proszę jasnego pana wiadomo, ma ksiądz być niespełna rozumu... Okrutnie bił, tak ciągiem smagał, że nie wiadomo, coby było, gdyby mu tak nie był nocny stróż wydarł nareszcie z rąk panią siostrę.

(Ciąg dalszy nastąpi).